



MARYLA WOLSKA
**SMOK
ZDECHŁ**

Maryla Wolska

Smok zdechł



Fundacja FESTINA LENTE

Smok zdechł.

Zdechł po prostu z nudów. Sto lat blisko odprawował wierną wartę przed zamkiem, wytrzeszczał w las ślepie, bacząc czy kogo lichy nie niesie, czuwał i nadśluchiwał, ale sto lat mijało i nie pokazał się nikt.

Żaden najmarniejszy błędny rycerz w obdarłej opończy, żaden junak królewicz, na wieszczym siwku złocistogrzywku, nawet głupiego Maciusia nie zaniósł nigdy w te strony.

Na zamku, bez tchu ni pamięci, spała zaklęta królewna, smok zaś leżał przed bramą — i tak było blisko od wieku.

W takich warunkach nikomu wesoło być nie może...

W lecie bywało jeszcze jako tako. Ciepłą nocą miesięczną, schodziła się czasem ta hołota leśna, lekkomyślne, niesamowite lichy, cały ten naród spod ciemnej gwiazdy, młody, ucieszny, hałaśliwy...

Czasem, co prawda, trudno było wytrzymać...

Zwłaszcza te dziewczęta! Patrząc nie ma na co, bo to blade, chude, w smaku nieszczególne a krzykliwe! Ale w każdym razie rozrywka...

Zdarzyło się jednak, że któraś z dziewcząt, rozbawiona i śmiejąca, podeszła raz ku niemu za blisko i dmuchnęła mu w nos zniecka.

To był tylko głupi żart, ale smoka porwała pasja i zjadł ją.

Odtąd majdan przed zamkiem opustoszał zupełnie. Nudno było, że się choć w ogon gryź...

Przyszła jesień. Na głogach i jarzębinach zapłonęły korale czerwone, trawa pożółkła, a w lesie pośród świerków i jodeł czarnych stanęły buki jak rozniecone pochodnie ogniste.

Zima przybyła wcześniej i wszystko zapadło w śnieg głęboki.

Smok zwinął się w kłębek w swojej jamie pod wjazdową bramą, mrużąc z bezdenną apatią:

— Niech to wszyscy diabli!

Igdyby w takiej chwili sam królewicz Niezginek (na którego stary jaszczur dawno zęby sobie ostrzył) otrąbił swe przybycie przed zamkiem, ani jedna łuska nie drgnęłaby na smoczym grzbiecie, żaden by się pazur nie zakrzywił...

Przynajmniej tak się gadowi zdawało. To naturalnie było tylko takie gadanie, ale nie zjawiał się nikt.

— Przecie nieraz żywe panny czekają daremnie na męża do śmierci, a cóż dopiero śpiące od stu lat na zabój?! Nic już z niczego nie będzie, a ty tu waruj smocze!... Może ona już tam dobrze zastygła od dawna? Wściec się można!

A tymczasem znowu zrobiła się wiosna; na stoku góry zamkowej kwitły tarniny, powietrze jeło pachnąc, wróciły jaskółki i rozpoczęły naprawę gniazd.

Smok widział to jednak tyle razy, że mu aż obmierzło.

— Niech to połamie, do choroby ciężkiej! — zaklął z głębi ogona i zwinąwszy się ciasno, legł w jamie swej bez ruchu.

— He — ef! — westchnął jeszcze raz i wyzionął parę ostatnią.

Pierwszy smok, który zginął naturalną śmiercią. Zdechł po prostu z nudów...

Wówczas to minęło właśnie sto lat czaru i królowna zbudziła się.

Przez okna bez szyb świeciło ranne, wiosenne słońce, słychać było świergot i fruwanie jaskółek, na tarasie kwitła czeremcha, a zdrowy świeży zapach rozchodził się po wysokiej komnacie.

— Pachnie... — pomyślała królowna i poszła, trąc oczy, ku oknu.

Wszystko wydało jej się cudowne i radosne, zapomniała bowiem doszczętnie, że była kiedyś córką królewską, że po śmierci jej matki-królowej, król wziął żonę drugą i że ją potem wróżka-macocha uśpiła czarem na zamku...

Wiecznie te same, bajecznie wstrętne stosunki rodzinne...

Dobrze jeszcze, jeśli się je przespać może, jak ta oto, ocknięta po stu latach królowna!

O smoku, co strzegł jej tak wiernie i długo, nie wiedziała wcale, był to bowiem tajny zauszniak macochy-królowej, do którego otwarcie nie przyznawała się nigdy, pomimo istotnego, choć dalekiego z nim pokrewieństwa. Ot, jak zwykle ubodzy krewni magnatów...

Szerokimi schodami tarasu zeszła królowna w ogród.

Zdziczały był i zachwaszczony zupełnie, ale że to na wiosnę wszędzie pięknie, więc i w zaroślach okalających na półrozwalony zamek, pełno było zapachu, świergotu ptaków, kwiatów wczesnych i świeżej, cudownej zieleni.

Suknia królowny różowa, srebrem tkana o rękawkach krótkich i wyciętym staniczku, przewiązana wysoko różowym pasem, wlokąca się za nią z chrzęstem jedwabnej powłoki, odsłaniała małe stopki w trzewiczkach płtykich, bez obcasków, przymocowanych do nówek bandażami z lśniącej różowej wstążki...

Królowna szła, a róże polne chwyciły ją kolcami za srebrne koronki obszycia, jak wieśniaczki, ciekawe błyskotek nieznanych...

W źródle przejrzystym umyła twarz i ręce, strzepała siwe pajęczyny i śliczna była, a rada jak dziecko, gdy się dobrze wyśpi.

I zdarzyło się właśnie, że po stu latach pierwsza żywa dusza dążyła w leśną samotnię. Oto jakiś wędrowiec wstępował raźnie na górę zamkową.

Królowna spostrzegła go z daleka i zaciekawiona patrzyła nań zza ruin baszty strażniczej.

Był młody i wysmukły, na głowie miał płaską aksamitną czapkę, pod szyją krawat błękitny, a drewniane pudełko pod pachą. Szeroka, czarna peleryna zwisała mu z ramion.

— Paż, nie paż?... — pomyślała królowna.

Ale to nie był paż.

Tymczasem przybysz dotarł do zwalisk zamku i rzucił się jak długi na murawę. Zdjął czapkę, przy czym ciemne włosy rozsypały mu się po czole, zrzucił pelerynę, a pudełko położył obok siebie na trawie.

Zupełnie ładny chłopiec.

Królewna schowana za basztę przyglądała mu się ukradkiem i bezwiednie poprawiać jeła jasną swoją fryzurę, na której drobno poskręcanych pierścionkach lśniły resztki złotego pudru.

Wędrowiec zaś pogwizdując jak wesoły kos, dobył z kieszeni bułkę i począł ją gryźć białymi zębami, ani śniąc, że opodał, parę kroków poza nim, czai się zaklęta królewna, zapatrzona łakomie w ubogi jego posiłek.

Biedactwo uczuło głód szalony i na widok drugiej bułki, dobytej właśnie z kieszeni, wraz z ładnym kawałkiem świeżego sera, królewna nagłą odwagą zdjęta wyszła z ukrycia.

Na szelest jej sukni chłopiec obejrzał się i okrągłymi oczyma wpatrzył się w nią osłupiały.

— A to co takiego? — wykrzyknął, zrywając się z ziemi na równe nogi.

— Chciałam cię prosić, żebyś mi dał co zjeść, bom strasznie głodna! — odparła z prostotą królewna.

On jednak jak nieprzytomny stał przed nią i milczał.

— A kóżeś ty jest do licha, osobo?! — zawołał wreszcie.

— Ja? — i królewna ze szczerym zakłopotaniem podniosła wzrok. — Jestem dziewczyną...

— Piękny zawód! Ale do biedy, jak ty wyglądasz istoto żeńska!

I patrzył na jej zeszlowieczną fryzurę, na krótki staniczek różowej sukni, na prostopadłe girlandki róż tkanych w adamaszku powłoki, na szal gazowy na ramionach i płytkie trzewiczki bez korków i dziwował się.

Któżby się zresztą nie dziwował?

— Dla Boga, coś ty za jedna? Gadaj!

— Ja nie wiem, nie pamiętam.. Daj mi tylko jeść, bo mówię ci, żem głodna.

— Ależ proszę! Owszem... Chodź no tylko bliżej... — i ochłonawszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, rozścielał na murawie szeroką swą pelerynę.

— Siadajże tu proszę i jedz... Ty jesteś pewnie aktorka albo wariatka... Mniejsza o to... Masz bułkę. Więc nie powiesz, kto jesteś?

Królewna ruszyła tylko ramionami i gryząc bułkę, przypatrywała się chłopcu.

— A ty kto jesteś? — zapytała nagle, poruszając z trudnością ustami pełnymi bułki.

— Dzisz, ja, jaka ciekawa! Ja jestem malarz... Wiesz, taki wesoły facet, co to gwałdze obrazy, nie ma pieniędzy, a żyje! I to jest właśnie sztuka, uważasz... Wspaniałe życie, zwłaszcza na wiosnę i przez lato. Przez resztę roku nie bardzo... Można jednak także... Fakt!... Ale czym ja jeszcze będę, ho, ho! Będę sławny, bogaty, kupię sobie czarne aksamitne ubranie, zapuszczę wąsy i dam ci od razu dwadzieścia bułek! Ot,

co jest! Słyszysz, ty, coś zapomniała, kto jesteś... Ja piszę także wiersze i umiem gwizdać... A ty co umiesz?

Królewna z godnością ruszyła ramionami.

— Nic nie umiem. Na co?

— Słuszna uwaga. Ale swoją drogą, nie zawracaj gitary, tylko mów raz, coś za jedna?!

Najprawdopodobniej uciekłaś z teatru i to z Madame Sansgene, prosto z przedstawienia...

— Znikąd nie uciekłam. Czy możesz mi jeszcze dać to białe?...

— Dobra sobie! A ja co? Szyszki i bukwę mi zostawisz, zeszłoroczne na dobitek... Ale co tam! Kawalek mogę ci jeszcze dać, tylko bądź łaskawa gadać po ludzku, bo zaczynasz być nudna...

Królewna wzięła ser i z upodobaniem spojrzała na malarza.

— Jak ty ładnie mówisz!

Malarz uśmiechnął się.

— To jest jednak jakieś strasznie miłe stworzenie!
— pomyślał.

— A co jest w tym? — zagadnęła królewna, dotykając końcem trzewiczka skrzynki z farbami.

— Farby! Różne delikatesy. Pokażę ci.

— Czy to do jedzenia? — zagadnęła skwapliwie królewna.

— Co u licha z tym jedzeniem? Wszystko by jadła!
— zaśmiał się. — Nie, farby nie są jadalne. Tym się maluje. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową przecząco.

— Zaraz ci pokażę — i otworzył pudełko, w którym szeregami leżały farby w tubusach, mieniła się paleta z pędzlami, obok zaś widniał nieduży blejtram z czystym, naciągniętym płótnem.

Królewna patrzyła ciekawie na nieznane sobie przybory.

— Wiesz co? — ozwał się — Zrobię twój portret. Niby tak, szkicnę tylko. A czy potrafisz cicho usiedzieć?

— Spróbuję. A ty czy potrafisz namalować? — spytała otwarcie królewna.

— Czy potrafię? Patrzcie no! Siadaj tylko tam, na tym kamieniu i nie ruszaj się! Zaraz cię ułożę...

Królewna usiadła posłusznie.

— Nie tak, poczekaj! — i sam zaczął nakierowywać jej głowę.

— Jakże on ma ładne oczy... — pomyślała królewna, kręcąc umyślnie szyją, żeby mieć je dłużej przed sobą.

— Siedźże raz spokojnie! — wołał malarz, niby to niecierpliwie, sprawdzając jednak równocześnie, że to jest jednak śliczna rzecz, takie złote, pozwijane pierścionki włosów.

Królewna była blondynką.

— Bo to widzisz, moja kochana — prawił, malując — to się teraz robi inaczej niż dawniej. Kiedy niewiasty nosiły takie suknie jak twoja, szło tamtym gładyszkom tylko o ładność, o wylizanie kolorków i linijek, o odpisanie buzi, że tak powiem, ortograficznie jak wiersza w sztambuchu... Teraz, żeby tylko wyczuć

charakter, chlasnąć parę plam i rąbnąć wyraz! Te mamuty ślęczały dawniej nad linią! Głupstwo linia! Ty może myślisz, że będziesz podobna? Śmieję się z tego!! Co komu za sto lat będzie zależało na podobieństwie? Wyraz, uważasz mnie, wyraz grunt... I to co robię, to będzie jedynie twój wyraz, żaden portret... Parę, wiesz, takich soczystych kleksów, kilka realnych plam, żeby dobrać bryłę a potem wpakować w to duszę!

— Duszę... — zastanowiła się królowna.

— Wiesz, że ty masz jednak pyszną twarz! — ciągnął malarz. — Słowo daję!... To jest coś, jakby poranek o zmierzchu... Sam nie wiem... Jakiś cudowny absurd, bajeczny anachronizm...

Królowna uśmiechała się z zadowoleniem.

— Ale, ale, jak ty się naprawdę zowiesz, stworzenie przyjemne? Nie wydziwiał dłużej, tylko powiedz! No!

— Nazwij mnie sam! — odparła królowna, podnosząc na malarza niebieskie swoje oczy.

— Owszem... Jakżebyś ty się mogła nazywać?... Zaraz... Od jakiegoś kwiatu naturalnie...

— Fiołek... — poddała skromnie królowna.

— Skądże? Przecie fiołek to chłopiec, a tyś dziewczyna... Ot, co... Mam już! Nazywaj się Firletka! To taki ładny, różowy kwiat, właśnie jak ty. — Dobrze?

— A dobrze! To śliczne imię... — wykrzyknęła, rumieniąc się z radości. — A ty sam, jak się nazywasz?

— Ochrczono mnie Jacenty, ale ty nazywaj mnie Hiacynt! Chcesz?

— Naturalnie... Jak my się ślicznie nazywamy! — i klasnęła w dłonie z uciechy.

— Słuchaj no Firlifito! A może byśmy się tak pobrali? Co? Jak myślisz? — zagadnął pieszczotliwie malarz. — Pójdziemy razem do miasta, tam na dół... Drogę znajdę z pewnością, bom się, idąc, nabłądził do syta, zwłaszcza że tu w ogóle nie szedł... Ożenię się z tobą, będziemy mieszkali we wspaniałej kamienicy, na samym szóstym piętrze... Chodzi mniej więcej o drugie tyle bułek... Cóż ty na to?

Królewna spuściła oczy i nie odpowiadała nic.

— Ręczę ci, że lepszej partii nie znajdziesz... Będę cię malował przez cały dzień, będę coraz drożej sprzedawał moje obrazy, a potem kupię ci zieloną aksamitną suknię z gronostajami i złotym łańcuchem. Będiesz wyglądała jak jaka królewna zaczarowana... I trzewiki czerwone ci sprawię i co dzień będziesz miała ananas na obiad, wiesz, taki drogi z zielonym wiechciem...

I patrzył jej w twarz wesołymi oczyma, które były i modre, i zielonawe, i złote, właśnie jak płynąca woda.

— Czerwone? Mogą być i czerwone? — zagadnęła wymijająco królewna.

— A jakże! We wszystkich kolorach! — upewniał malarz.

— I będziesz zawsze robić tak, jak zechcę? — badała przezornie.

— Inaczej nawet nie myślałem...

— No, to zresztą...

— Więc pójdiesz?

— Pójdę...

— Daj ci Boże zdrowie! Ty jesteś całkiem bajeczna dziewczyna! — wołał malarz, ani przypuszczając, jak dalece bajeczny zawierał związek.

— A teraz zmruż oczy i popatrz, zdaje mi się, że to jest pycha, com zrobił — i zbliżył się z mokrym płótnem w rękę.

— Szkicnięte pieronem od ręki, ale jest cały twój charakter. Sterczysz z płótna jak żywa...

— Sterczysz... — zastanowiła się królewna.

— To nic. To tylko takie malarskie słowo.

Nauczysz się ich z czasem więcej. Popatrz no teraz! — i obrócił ku niej płótno.

W zawierusze barw i plam, majaczyły niepewne zarysy ludzkiej głowy. Z lewej strony nosa mienił się tęgi, soczysty, kobaltowy chlast, ucho duże i pąsowe, niby liść begonii w słońcu, zdawało się tylko od niechcienia do twarzy przytknięte. Zielony kontur podcinał brodę. Królewna się rozpląkała.

— Nie chcę ciebie! Ja tak nie wyglądam! — wołała łkając. — To nieprawda, ja nie mam fioletowego nosa ani zielonej brody!... — i zanosila się płaczem.

— A wiesz... nie przypuszczałem, żeś taka — no, jakby to grzecznie powiedzieć?... Dziecinna, przypuśćmy... Zdawało mi się przeciwnie... Że mnie pocałujesz w nagrodę, że mi powiesz poczciwe słowo... — mówił z widoczną urazą, chowając szkic do pudełka.

— Nawet mi kończyć nie warto, kiedy tak... — rzucił smutnie.

— Nie jestem dziecinna, tylko to, coś zrobił jest szkaradne, ohydne, obrzydliwe... — wołała ze złością.
— To nie jestem ja ani nikt... Śliczny obraz, nie ma co mówić...

Malarz spojrział na nią z politowaniem.

— Gdzieś ty się wychowała dziewczyno? Kto teraz maluje śliczne obrazy? Popatrz sama na ten szkic świeżym okiem, bez uprzedzenia... To jest siła, to jest rzut... — dowodził nad otworzonym powtórnie pudełkiem. — Tylko gęsi mogą szukać śliczności w obrazie, a ty chyba gęsią nie jesteś...

— No nie... — potwierdziła z przekonaniem królewna.

— A widzisz. Ty jesteś tak staroświecka jak twój adamaszek. To teraz wszystko niemodne. Popatrz tylko, jak ja pojąłem twój nos. Nie historycznie, epokowo, jak Van Dyck i inne ichtiozaury — ale po ludzku... Indywidualny, młodociany, odczuty nos...

— Ale to ucho... — szepnęła żałośnie królewna.

— Ucho? Kto teraz zważa na ucho?! Ucho to jest szczegół zgoła nieudany, zbędny w ludzkiej twarzy, lekceważony obecnie przez wszystkich. Zaznacza się je chyba dla kontroli w proporcjach albo z ustępstwa dla tradycji, jako przeżytek, coś w rodzaju kostki ogonkowej, przypuśćmy... Czy ty nie widzisz, że ta głowa żyje? Czy nie spostrzegasz w niej tego, czego na pozór nie widać wcale? Spójrz tylko z dobrą wolą, przecie nie jesteś gęsią...

— Nie jestem — przyznała znów królewna, patrząc na szkic z wysiłkiem.

— Widzisz istotę wyrazu?

— Tak, no tak... Może to jest istota...

— Perskie oko konia tuczy! Szkoda gadania...

Stella na ten przykład, to całkiem co innego. Ta się dopiero zna na malarstwie. Zrobiłem jej tu kiedyś zielony nos, pomarańczowy policzek i czerwone oczy, tak dla eksperymentu jedynie, do tego białe włosy — a ona nie tylko nie obraziła się, ale mi jeszcze powiedziała: „Droga małpo!” A to u niej dużo...

— Cóż to za Stella? — zagadnęła niedbale królewna.

— Moja znajoma. Także z zawodu dziewczyna... Malowałem ją Bóg wie ile razy, napisałem do niej huk wierszy...

— Kochasz ją?

— Nie, ale zdaje się, będę zmuszony...

— A to dlaczego?

— Boś ty ze mnie niekontenta...

Królewna Firletka milczała.

— Powiedz mi jaki wiersz do tej... Stelli! — ozwała się po chwili.

— Z chęcią. Ostatni, bo zwykle tylko ostatni umiem na pamięć. Napisałem go w ogrodzie na piasku, jej białą parasolką. Słuchaj!

Roztłony wrzask zwietrzałych świec

W oczach się mych zwierciadli,

Na strupieszających marzeń wiec

Szatani mnie przywiedli!

Dzika się we mnie targa moc,

*Jak jeleń w pętach kuszczu,
Myśl się jak tysiąc pręży proc,
Lecz głazu nie wypuszcza...
Tętent mych pragnień grzmi o bruk,
Skłębioną, wściekłą mocą,
Wiem, żebym w bezmiar lecieć mógł,
Lecz nie wiem gdzie i po co...*

Skończył.

— Już?! — wykrzyknęła królowna. — I to było do Stelli?

— Nie tyle do niej, ile przez nią. Teraz się nigdy nie pisze do kogoś, tylko chwyciwszy ton poddany przez drogą istotę, tworzy się bezwiednie, niechcący, mimochodem...

— A Stelli się podobało?

— Ogromnie. Przepisałem jej na manszecie — i wzięła sobie do domu. Teraz chodzę tylko w jednym. Pewno już umie na pamięć... — mówił, ciągnąc na ramiona pelerynę.

— Idziesz już?

— Muszę. Drogę zgubiłem, daleki kawał chodu przede mną, a zresztą, zjadłaś mi, nie wymawiając, zapasy. Niech ci jednak służą! — dorzucił wesoło.

— Bywaj zdrowa! — i wyciągnął rękę.

A na to królowna, jak gdyby nigdy nic:

— Idziemy przecież razem!

I poszli.

Maryla Wolska
Smok zdechl

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-345-3

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl